NUMER 16. DNIA 29. KWIETNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## Artur Grottger.

(1837—1867.)

(Ciąg dalszy.)

Uczucia przyjaźni, uczucia rodzinne były u Grottgera silnie rozwinięte. Taki też charakter mają jego erotyki rysowane, które odtąd zaczyna tworzyć, komplikując je z narodowym tematem. Miał już pewne zblazowanie, pewien przesyt życia erotycznego w sobie. Do Maszkowskiego pisze raz:

„Mój poczciwy Marcelu! Ślepo poddajesz się złudzeniu, marząc o rozkoszach! — Jakich! — Rozkoszach w słowie, w głosie, w oku, w ustach?... Na miejsce czarownych słówek usłyszysz niemiłe, obrzydliwe, ten luby głosik uleci, przeminie, zapomnisz o nim, oko — zgaśnie, umrze — usta stracą swój urok, oziębną!... a sztuka, ta nasza sztuka! Ta wieczna, nieodmienna, niedocieczona, ten nasz ideał, ta nasza modlitwa! Ta zawsze nas przyjmuje do siebie, za każdą łzę bólu, rozpaczy — za każdą kroplę potu przy pracy, wynagradzając nas w dwójnasób! — Ale wszystko inne jest tylko przemijający szał, mit einem Wort: „ein Katzenjammer nach einem durchschwärmten Fasching!“

I gdyby była piękna jak Anioł, a rozumna i miła jak... już nie wiem co — nigdybym się nie dał tak dalece osiodłać. A czyż pewny jesteś, żeś Ty pierwszy dopiero, którego ona kocha? Czyż na to przysiądz możesz, że nikomu jeszcze miłości nie



Do artykułu „Artur Grottger“. PIELGRZYMKA DO HODOWIC.

przysięgała tak gorącej, „dass sie alle diese Ueberzauber nicht schon für Andere verschwendete?“

Pomimo to wszystko pragnienie miłości go żarło, wtrącało go w miłostki, wypowiadało się w jego sztuce. A o ile w życiu prócz swej ostatniej miłości traktował erotyzm lekko — i w życiu i w sztuce odnosił się do kobiet jak trubadur i galanthuomo. Zachwycał go wdzięk kobiecości i te jej formy, jakie stworzyła kultura, jej kokieteryjność, a zarazem pewna bierność w wyrazie, słabość i opuszczenie kształtów. Główki jego kobiece niemal wszystkie są lekko przechylone przez ramię i spojrzenie w bok zwrócone — coś z słabości i kokieterji, ale wcale purytańskiej, panieńskiej.

Od chwili powstania Warszawy roztoczył się jakiś smutek po jego obrazkach. Przyczyniała się do tego już sama technika graficzna, co stroniła od wszelkiego barwnego efektu. Pobyt w Wenecji uczynił go wprawdzie czulszym na barwne walory — a jednak, ilekrotnie tworzył najgoręcej, najistotniej — zawsze chwytał się kredki. A od czasów wiedeńskich i od „Warszawy“ aż do „Wojny“ śledzić można ogromny rozwój jego graficznej techniki. Zrazu jest ona jeszcze dość szkolną, akademicką. Taką jest na „Warszawie“. Widać tam wyraźny wpływ rysowania z gipsów, tak częstokroć wyszły postacie twarde, sztywne, bez żywego ciała. Z czasem jednak uzyskał umiejętność oddawania ogromnej miękkości, w czarnobiałej formie oddawać zaczął znakomicie najrozmaitsze materjały. Na portrecie Maszkowskiego Rafała z żoną przeprowadził świetnie matowy połysk tłustego naskórka, oddawał znakomicie materjał pluszu, aksamitu itd. A na „Lituanji“, zwłaszcza zaś na „Wojnie“ oglądać można zdumiewająco przedstawione: stare grobowe kamienie, fałdziste, wysokie buty, hełmy, trawy, kwiaty, liście, konary drzew. Technika stała się swobodną, szeroką, skala intensywności tonów się zwiększyła. I dlatego takie portrety Algarotti, Januszkiewiczówne, Szczepanowskiego, Maszkowskiego są nawskróś dzisiejsze, mogą stanąć obok najlepszych prac dzisiejszej grafiki.

Jak przedtem w batalistycznej swej epoce miał swój typ konia i swój typ człowieka — tak i teraz zjawia się na jego obrazach, jego specjalnie typ ludzki, wzorowany oczywiście na rzeczywistości, ale zmodyfikowany przez tkwiące w nim upodobania klasyczne. Człowiek jego staje się jakiś chudy, jakby strawiony już nietylko chłodem i głodem, ale nadto jakimś głębokim psychicznym zapałem i bólem, oczy jego, blaskiem żarliwości lśniące, przysłonięte są cieniem, bo tkwią głęboko w oczodołach; wyglądają wszyscy nastrojeni religijnie, bo też faktycznie ojczyzna i jej wolność stają się dla nich najwyższą, najcenniejszą ideą, skarbem fanatycznie ukochanym — a smutni są, bo walczą bez wiary, już tylko dla honoru. Faktycznie odbija się na jego cyklach partyzancki charakter tych walk, tak widocznie nierównych, widać na nich to porywanie się beznadziejne, niestrategiczne, czysto ideowe, święte w swej naiwności — na przemożne siły.

A nadto jeszcze jedna strona jest charakterystyczną. Oto wszędzie, we wszystkich cyklach najwyższy tragizm, największe nieszczęście — to zburzenie rodzinnego szczęścia i spokoju. Ogromna różnica między temi scenami martyrologji, a scenami, jakie nam przywiódł przed oczy Jacek Malczewski w pierwszym okresie swej twórczości. Tu wszędzie niemal chodzi o zniszczenie tego, co stworzyła miłość — i dlatego tak charakterystycznymi dla twórczości Grottgera są dwa obrazki w Muzeum Narodowem w Krakowie: „Pożegnanie“ i „Powitanie powstańca“ — gdzie erotyczny i narodowy pierwiastek tak się ściśle ze sobą kojarzą.

Poza tem już w pierwszej karcie „Lituanji“, najbardziej zaś w cyklu „Wojny“ wypowiada się ciążenie Grottgera do fantastycznych pomysłów. Tam „Duch zniszczenia“ płynący senną litewską puszczą, tu dwie postacie, Grottgera i genjusza, który mu pokazuje wszystkie okropności wojny. „Sen“, „Zmierzch, Zorza i Noc“, „Amor i Psyche“ świadczą również o tej potrzebie twórczości fantastycznej. Lecz jasne jest, że jest to tylko uplastycznianie pomysłów fantastycznych już kiedyś przez grecką mitologję stworzonych, antropomorfizacji, allegorji — fantazja ta tedy jest zgoła inną od tej, o jaką się biją dzisiejsi twórcy fantastycznych pomysłów.

(Dok. nast.)

*Marjan Olszewski.*

# Piotr Curie.

Zdumienie i gniew rozpaczliwy ogarniają nas zawsze wobec bezmyślnych i nędznych w swej treści wypadków, które tem niemniej wytwarzają zamęt w złożonem, nerwowem i niespokojnem życiu ludzkości. Ciężki wóz naładowany, razem około 12.000 funtów wagi, przewożący ze składów ubra-

nia wojskowe do koszar, przejechał spieszącego do swych zajęć i usiłującego wyzyskać każdą chwilę czasu dla walki z tajemnicami natury uczonego. I ten potężny organizm myślący, który patrzał tak daleko w przyszłość, został zdruzgotany, zmiażdżony pod ciężarem materji bezmyślnej i mało pożytecznej. Pod kopytem końskiem i pod kołem wozu Piotr Curie wyzionął ducha.

Skromny i lubiący zacisze badań, naukowy pracownik już oddawna cieszył się uznaniem kół akademickich; prace Curiego nad zjawiskami krystalizacji dały dowód jego przenikliwości badacza i sumienności człowieka, dla którego poznanie natury było zadaniem pierwszem. Za murami pracowni cichej i skromnej oceniali Curiego tylko ci, którzy tak samo, jak on, umieli pracować i spełniać swój obowiązek badaczy naukowych.

Dawniej te kąty zaciszne, w których mieściły się siedziby pracy naukowej, miały swą auerolę i wywierały wpływ tajemniczy na masy narodowe. Zachowały też swą powagę i swój spokój, którego resztki jeszcze widzieć można. Ale dziś — w epoce gwaru i krzyku — powaga i wpływ zmalały i została tylko zaciszność, która umie zaspakajać tych, u których głębokie korzenie zapuściło poczucie obowiązku względem zadania przedsięwziętego. To też nie dziw, że i w świecie uczonych zaszły tesame zmiany, jakie widzimy w otaczających warunkach społecznych, w środowisku, w którem dawniejsi kapłani wiedzy obracać się muszą.

Curie należał do tych, którzy swego wewnętrznego ja nie zginają dla kaprysu lub mody tłumów. Curie należał do tych nielicznych uczonych, którzy pozostają na swem stanowisku kapłańskiem, nie poniżając się do roli nowoczesnych *business* — ludzi nauki. Rozgłos, jaki mu nadały jego prace nad *radium*, nie zmienił ani na jotę jego ogólnego stanu duszy, jego upodobań i nastroju.

Ze spokojem przyjmował on wizyty miljonerów, i to nawet takich, do jakich należy Carnegie; z uśmiechem politowania odrzucał proponowane mu dekoracje i odznaczenia, jakich się domaga zwykle próżność ludzka. Przyjął jedynie profesurę, bo ta mu dawała możność pracowania i zyskania sobie współpracowników.

Tymczasem odkrycie radium i jego własności dokonywało rewolucji we wszystkich teorjach naukowych, w całej filozofji wszechświata. To, co wydawało się pewnikiem, zostało zachwianem, to, co miało pozór zupełnego wykończenia, poczęło domagać się uzupełnienia a nawet przeróbki. Badania Curiego zrodziły wątpliwości co do teorji nieśmiertelności materji i zdawały się przekształcać wszys-



Do artykułu „Artur Grottger“

RAFAŁ MASZKOWSKI Z ŻONĄ.

tkie uogólnienia filozoficzne o stosunku siły do materji. Cała fizyka została jakby zrewolucjonizowaną.

Posypały się dzieła, broszury; jak z rogu obfitości wykłuły się teorje, hypotezy. Dziesiątki, setki pisarzy rzuciły się do *wyzyskania* prac Curiego. Ale uczony francuski pozostał na swem stanowisku pracownika skromnego. Jego ten gwar nie obchodził, bo miał on przed sobą tyle pracy jeszcze i czuł w sobie tyle sił do prowadzenia dzieła rozpoczętego naprzód.

O znaczeniu Curiego dla nauki, o wartości jego prac i wynalazków nie będziemy tu mówili. Chcieliśmy tylko oddać tu hołd człowiekowi i zrobić tu

uwagę, że Francja, która tyle krwi wylała dla ideałów, zawdzięcza być może swym dziejom to szczęście, że w nauce przynajmniej, w sferze myśli i pracy, posiada ludzi, którzy i duszą swą wyróżnić się umieją.

Czytelnicy „Kurjera" wiedzą o tem, jaką pomoc wielki uczony francuski miał w pani Curie, Polce z urodzenia i z uczuć, Skłodowskiej z domu. Śmierć, która ją dotknie tak boleśnie, osieroci także dwie córeczki, z których młodsza ma zaledwie półtora roku.

Miejmy nadzieję, że pani Curie będzie miała możność prowadzić dalej prace, jakie przerwał teraz tragiczny wypadek, który pozbawił ją towarzysza życia i myśli, a Francji odebrał człowieka, który już w 47 roku życia tyle dał swej ojczyźnie.

Nie duch partyjny dyktuje nam jeszcze uwagę, że zmarły uczony występywał zawsze jako wielbiciel swobody i sprawiedliwości społecznej. Uzupełnia to tylko obraz tego uczonego jako człowieka ideałów wielkich, duszy, która tylko westchnienia czyste znała.

## Lwów na początku XIX. w.

### IV. Illuminacja.

Żadne chyba miasto nie może się poszczycić, aby illuminacja i „fajerwerk" tak weszły w krew i żyły jego życia publicznego, jak we Lwowie. Nie w ostatnich czasach, ale od końca szesnastego wieku aż do ostatnich czasów illuminacja i sztuczne ognie były najmilszym sposobem wyrażenia radości, entuzjazmu, modlitwy, uroczystości, jubileuszów ba, nawet żałoby itd. Przyjechał do Lwowa król polski, czy później cesarz austrjacki: illuminacja, doszła wiadomość o jakimś radosnym fakcie dziejowym: w lot rozpalały się wszystkie okna kamienic lwowskich morzem światła, kanonizowano jakiego świętego, koronowano jaki obraz cudowny: Lwów się natychmiast illuminował, zaszedł wreszcie jaki „akt żałośny" lub „funebralny"; a już świeciły się tysiącem świec, lampek i pochodni emblemata żałobne, bajeczne pod względem struktury i pompy katafalki, piramidy z malowanemi postaciami allegorycznemi.

Co więcej, nawet prywatne wesele jakiegoś magnata, jego pogrzeb, czy wstąpienie do klasztoru po życiu burzliwem, wywoływało efekty illuminacyjne we Lwowie. Palono stosy słomy na ulicach w wilję Bożego Narodzenia, noszono pochodnie gorejące na święto patronów, na koronację, na wesele, na urodziny w domu królewskim, illuminowali się żydzi na święto tory, prowadząc rabina ze synagogi do domu, oświetlała swe okna ludność chrześcijańska na ingres arcybiskupów wszystkich trzech obrządków, słowem illuminacja i ogień sztuczny wszędzie: na weselu i festynie, na nieszporach i na pogrzebie.

Ogień sztuczny zastosowany do życia politycznego nazywał się we Lwowie specjalnie „fakelzugiem". Dziś już nie było dawno we Lwowie żadnego „korowodu z pochodniami", ale niedawne to czasy, kiedy popularnie i z lwowska zwany „fakelzug" był prawie jedynym środkiem manifestacji politycznych. Urządzano „fakelzugi" na rzecz cesarza i arcyksiążąt, witano nim dyplom październikowy i konstytucję grudniową, maszerowano pod mieszkania Smolki, Hausnera, Ziemiałkowskiego, prowadzono go z muzyką, wiwatem, smolnym smrodem, kapiącą na ubrania uczestników żywicą po ulicach miasta wężowymi splotami i zawijasami, czasem z policyjnemi przeszkodami. Byli nawet mistrze „fakelzugów" niezrównani prowodyrowie, którzy go wieść potrafili tak, jak Sędzia poloneza w „Panu Tadeuszu".

Zdarzyło się raz podpisanemu, że zrobił wycieczkę do... piwnic obecnego ratusza lwowskiego i tam ku swemu zdumieniu spostrzegł ogromne stosy drągów od pochodni, które służyły ongi do urządzania korowodów z pochodniami. Takie tego mnóstwo i tak te stosy zapomniane, niezrozumiałe już dziś, jak zamknięta raz na zawsze karta z przeszłości dziejów lwowskiej kultury. Niema już „fakelzugów" — ostatni był ponoś na cześć Stanisława Szczepanowskiego!

Miała jednak illuminacja lwowska i tragiczne swoje dzieje. Było to wtenczas, kiedy po całym szeregu illuminacji, w ośmnastym wieku, przyszło lwowianom oświecać swe domy na cześć... pierwszego namiestnika austrjackiego, hr. Pergena, a potem w dzień „homagium", przysięgi na wierność rządowi austrjackiemu, a potem już razem ze wszystkiemi miastami „rzeszy rakuzkiej" na cześć Marji Teresy, Józefa II, na cześć pogromów Napoleona i inaugurację „Świętego przymierza". Miała ta lwowska illuminacja czasem także charakter policzka, jak wówczas, gdy bezpośrednio po illuminacji, na cześć wojska polskiego, zajmującego Lwów w r. 1809 i po ustąpieniu tegoż wojska, przyszło lwowianom urządzać tryumfalny i illuminacyjny powrót zniena-

widzonej biurokracji wiedeńskiej i allegorycznymi transparentami kłam zadawać temu, za co się krew polska lała w legjach napoleońskich.

Chociaż bywały i lepsze czasy: Lwów witał illuminacją Stefana Batorego, urządzał olbrzymi fajerwerk na cześć zdobycia Smoleńska, na pogrom carów moskiewskich, na cześć Sobieskiego i t. d.

Same pomysły illuminacyjne, transparenty, figury allegoryczne, stosowane we Lwowie przy tego rodzaju okolicznościach, dostarczyćby mogły materjału na osobne studjum. Nie byłoby to może i bardzo błahe studjum, boć przecie to cywilizacja lwowska, kultura, tło epoki, stylowość danego czasu, wieku i ludzi. Jeżeli taki „magistratus lwowski“ w czasach kompletnej pustki w kasach swoich mógł wydawać na „rac ognistych puszczanie“ całe setki złotych polskich, to snać była to jego duchowa potrzeba, była to konieczność miejska i inwestycja, jak dziś naprzykład teatr, lub miejska galerja obrazów.

Jeden z epizodów tej lwowskiej pasji illuminacyjnej przedstawia nasza rycina, a mianowicie fajerwerk urządzony w ogrodzie jezuickim w r. 1806. Na jaką cześć i po co — nie wiadomo. Mogło to być tak samo bez żadnego celu, jak też i na jakieś urodziny cesarskie lub inną lojalną uroczystość. W każdym razie widać na tym obrazku ogromne zainteresowanie się mieszkańców Lwowa „fajerwerkiem“, widać także swojego rodzaju stylowość i wymysł ówczesnej pirotechniki, w owym gmachu świateł i efektów świetlnych.

*Fr. Jaw.*



„FAJERWERK“ W OGRODZIE JEZUICKIM W R. 1806.
*Ze zbiorów bibljoteki im. Baworowskich.*

# Z ZA KRATY.

## LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy.)

Podczas mej nieobecności sprzątnięto mą celę, jeszcze rano strażnik przyniósł mi szczotkę i śmietniczkę i uprzejmie prosił, bym celę zamiotła.

— Dajcież mi raz pokój! — zawołałam ze złością — chcecie, to sobie zamiatajcie. Odszedł więc, a gdym poszła do kancelarji, celę wymieciono, materac położono na ziemi na ubitą słomę, poduszkę dano świeżą, poszewkę z grubego płótna.

W kancelarji prosiłam o łóżko lub jaki tapczan. Powiedziano mi, iż to zależy od rozporządzenia

lekarza, gdyż nikomu z czterdziestu dwu więźniów politycznych łóżka nie daje się — chyba doktor poleci.

Wszystko, co mię spotkało, zaszło tak nagle i niespodzianie, iż literalnie nie miałam czasu myśleć o tem, co będzie dalej. Miałam dotąd wciąż tylko naprężoną uwagę na to, co się wokoło mnie dzieje, o co mię pytają, oraz na to, co miałam powiedzieć, by się nie powikłać, a przedewszystkiem nieuważnem słowem lub zachowaniem się nie narazić nikogo. Nie znaleziono przy mnie żadnych listów, żadnych wskazówek, to też byłam spokojną. Ale któż może przewidzieć, co jutro przyniesie i czy z tej na prawdę głupiej sprawy nie wyjdzie ono smutno i ciężko dla mnie a przedewszystkiem dla innych. Miałam zawsze wielki dar analizowania możliwych następstw czynów mych, obecnie w zamknięciu wzrosło to do niemożliwości.

— O gdyby i tam na świecie, myślałam sobie, chciano mię odczuć i zrozumieć i nie starać się o żadne dowiadywanie się o mnie. Gdyby zrozumiano, iż mi o wiele lżej będzie znieść największe przykrości samej, niżby tam kto miał przejść chociaż tylko przez rewizję nocną, ohydne najście na dom.

Takie myśli otoczyły mię obecnie, zawiniętą w futro, gdyż w celi było ogromnie zimno. Siedziałam na stołku z głową opartą na stole, chwilami fizyczne znużenie brało górę i zasypiałam, ale drętwienie rąk lub karku budziło mię z drzemki. Przez otwór w drzwiach strażnik wciąż zaglądał do celi, widziałam kilkakrotnie jego żółte, kocie źrenice ścigające mię i drażniło mię to szalenie.

Zdaje mi się, że pierwszy dzień w zamknięciu człowiek przechodzi podobne uczucie, jak zwierzę złapane. Jest ogłupiony, zdenerwowany i dziwnie wrogo usposobiony względem całego otoczenia. Swoje ja zasłania mu świat cały, to też nie zwracałam uwagi na lekkie pukania w ścianę, któremi sąsiedzi więźniowie zaznaczali mi swą obecność i współczucie.

Przesiedziałam tak niemal cały dzień, o trzeciej przyniesiono mi obiad. Grochówkę z jakimś tłustym kawałkiem wędzonki. Odesłałam obiad, nie tknąwszy. Wyprawiając mnie z domu swego we Lwowie, p. Marja, włożyła mi do kuferka ośm bułek z szynką, w drodze nic nie jadłam, obecnie więc miałam zapas na całe cztery dni. Wystarczy, by z głodu nie umrzeć. Mam też paczkę biszkoptów, po czterech dniach nie wiem co będzie. Ale nie mogę tknąć tego jadła, mdły zapach nieznośnym wydawał mi się, był to zapach mydlin! Może potem głód zmusi mię do jadła, ale teraz nie mogę, myślałam, jak nie mogłam odważyć się położyć na podłodze. Przesiedziałam też i przechodziłam całą noc.

(C. d. n.)

# Męczennicy z Manczestru.

## Ustęp z dziejów fenianizmu w Irlandji.

II.

„Fenianie“ stanowili rodzaj rycerstwa albo raczej milicji narodowej w legendowych dziejach z pierwszych wieków Irlandji chrześcijańskiej. Spiskowcy, przyjmując tę nazwę, chcieli podkreślić charakter wojowniczy, powstańczy ruchu nowego, który teraz jak płomień szerzył się po zielonym Erinie. Organizatorzy spisku liczyli przedewszystkiem na Irlandczyków, służących w wojsku angielskiem. W samej rzeczy duch narodowy tak spotężniał, iż bataljony całe pomimo zakazu szły z pieśnią „Boże zbaw Irlandję“ na ustach.

Ale ruch narodowy był dopiero w zaczątkach, a spisek był na poły jawnym a na poły tajnym. Jawnie trzeba tam było zwalczać arcybiskupa Cullen'a, który politykę irlandzką chciał podporządkować polityce Kościoła katolickiego w Anglji. Jawną była prasa cała, bo trzeba było korzystać z istniejącej swobody słowa drukowanego. Otóż około tej prasy jawnej skupiały się siły kierownicze spisku tajnego, co szkodziło zarówno pracy legalnej, jak i robocie podziemnej. Na poły jawną była także organizacja kół patrjotycznych po wsiach irlandzkich, bo dzierżawca irlandzki był przyzwyczajony już działać jawnie i głośno w granicach swej gromady. Okoliczność ta pozwalała rządowi angielskiemu wprowadzić wszędzie swych szpiegów i agentów prowokujących. Przy nędzy strasznej, która w Irlandji panowała, trzos pełny Anglji miał do dusz słabych łatwy dostęp, dla swych niecnych i cynicznych środków demoralizujących.

Najważniejszą wszakże okolicznością był ten fakt, że w kraju nie było wcale broni. Znawcy ówczesnych stosunków irlandzkich opowiadają, że było zaledwie 500 sztuk broni w całym kraju w rękach warstw narodowych i nieprzyjaźnie względem Anglji usposobionych. Praca więc, którą Fenianie prowadzili, była z góry skazana na porażkę, bo, zamiast

od uprzedniego zaopatrzenia się w broń, zaczęła się ona od nawoływań do walki, od nawoływań, które znajdowały posłuch chętny, ale ręce nieuzbrojone. Propaganda fenianów miała powodzenie, to nie ulega wątpliwości żadnej, — ale rząd wiedział dokładnie o wszystkiem i znał także słabość uzbrojeń irlandzkich.

To też, gdy rząd zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi, zaprowadził natychmiast stan oblężenia, zawiesił konstytucję i postanowił zadać ruchowi rewolucyjnemu cios śmiertelny przez aresztowanie całego komitetu narodowego. W 1865. roku, przywódcy ruchu zostali uwięzieni i oddani pod sąd. Zamiast przybrać rozmiary powstania narodowego, ruch wyrodził się w szereg „nieporządków“, stłumionych równie szybko jak okrutnie. Z więźniami obchodzono się po barbarzyńsku, jakkolwiek jeszcze nie byli oni zasądzeni. Wielu z więźniów potraciło zmysły, inni tak podupadli na zdrowiu, że nawet o sądzie nad nimi już nie mogło być mowy. Znalazło się wreszcie kilku posłów w parlamencie, którzy wykazali hypokryzję rządu angielskiego, rozpisującego się o niedoli Polaków, a naśladującego siepaczy moskiewskich. By uniknąć dyskusyj drażliwych w Parlamencie, rząd zgodził się na wysłanie inspektora do więzień. Otóż inspektor, Sir — Mac Donnell, okazał się człowiekiem rzetelnym i jego sprawozdanie można nazwać „księgą czarną“ ówczesnych władz administracyjnych w Anglji.

Przyspieszono więc sądy, ale przewodniczył tym obradom sądowym niecny Keogh, żywe świadectwo tego rozkładającego się systemu rządów, jakie Anglja wprowadziła do Irlandji. Naród irlandzki był przygotowany do ofiar: patrjoci irlandzcy zwyciężeni wiedzieli, że muszą znieść wszystko i żyć tylko nadzieją nowych walk i wiarą w lepszą przyszłość. Ale znosić widok Keogha, otoczonego aureolą władzy, — widzieć tego wyrzutka narodowego, przyobleczonego w szaty sędziowskie, — tego nie mogli znieść rozbitki ruchu rewolucyjnego. Ze zgrzytem zębów i z klątwą na ustach postanowiono prowadzić walkę dalej, ale już innymi środkami. Uczucie zemsty stało się teraz kierującą sprężyną ruchu. Walkę postanowiono prowadzić środkami terrorystycznymi i to na ziemi angielskiej.

W Anglji właściwej już wtedy były liczne ogniska irlandzkie. Prawie we wszystkich większych miastach angielskich można było znaleźć tysiące i dziesiątki tysięcy Irlandczyków, którzy masowo po klęskach głodowych przyszli szukać zarobku na rynku przemysłowym Anglji. Większość tej ludności irlandzkiej w Anglji, nieoswojona jeszcze z nowymi warunkami życia i pamiętna krzywd, doznanych w ojczyźnie wskutek złych rządów angielskich, była pochopną do skupienia się około wodzów fenianizmu. Oto dlaczego od 1866 roku, walka fenianów przenosi się głównie z Irlandji do Anglji. Jeden z epizodów tej walki miał miejsce w Manczestrze i ten właśnie epizod jest przedmiotem naszego artykułu.

* * *

Po rozbiciu sił fenianów i aresztowaniu głównego sztabu organizacji, pułkownik Kelly i kapitan Deasy postanowili skupić na nowo rozproszone i ocalone siły rewolucyjne Irlandji. Policja angielska wiedziała o tych usiłowaniach, była ciągle na tropie tych dwóch śmiałych spiskowców, ale przez długi czas nie udawało się jej położyć ręki na odrodzicieli spisku. We wrześniu 1867. roku, Kelly i Deasy znajdowali się w Manczestrze w celach porozumienia się z miejscowym oddziałem „bractwa republikańskiego“.

W Irlandji policja miała wolne ręce, gdyż konstytucja była zawieszona, a samowola administracyjna nie znała granic. W Anglji władze policyjne w pogoni za Irlandczykami, musiały bądź co bądź liczyć się z prawami krajowemi. Dopiero, gdy prasa angielska poczęła podburzać ludność krajową przeciw Irlandji, gdy *Times*, który Włochom przyznawał prawo rokoszu, zaczął domagać się bezwzględnego prześladowania „band irlandzkich“, policja uczuła się swobodniejszą.

W Anglji, jak i w każdym innym kraju, swoboda jest więcej pod pieczą opinji publicznej, aniżeli praw, bo cóż znaczą prawa, gdy sumienie narodowe się spacza a namiętności i nienawiści tępią wszelkie poczucie solidarności ludzkiej!

Nie dziw zatem, że i w Anglji pomimo wszelkich praw, gwarantujących swobodę, władze policyjne, mając za sobą rozuzdanie rozjuszonego przeciw Irlandczykom ogółu angielskiego, przestały przestrzegać form i przepisów prawnych, gdy w swej czujności około „bezpieczeństwa publicznego“ mogły rabować Irlandczykom zapewnione im przez prawo bezpieczeństwo osobiste.

Władze w Manczestrze także węszyły Irlandczyków i spiskowców. Pewnego wieczora Kelly i Deasy, gdy opuszczali spóźnioną porą dom jednego ze swych rodaków, zostali napadnięci przez zbirów policyjnych i aresztowani na „chybił trafił“. Nazajutrz, obaj więźniowie zostali przyprowadzeni według przepisu prawnego przed oblicze sędziego policyjnego, przed którym policja miała wyłuszczyć powody, dla których uwięziła dwóch jej całkiem nie-

znanych obywateli. Policja nie mogła niczego zarzucić więźniom, których nie znała, ale ponieważ właśnie dlatego, że nie znała więźniów, chciała ich zatrzymać „na wszelki wypadek“. Sędzia policyjny zadosyćuczynił żądaniu policji, gdy ta dla formy oskarżyła nieznanych jej obywateli o „wałęsanie się w celu spełnienia zbrodni“. Jakiej zbrodni? Tego nikt nie mógł wytłumaczyć, ale sędzia — prawdopodobnie czytelnik *Times'a* — uczuł się w pokrewieństwie ducha z policją i uznał areszt za prawny, zalecając policji, by się dowiedziała w przeciągu ośmiu dni, jaką zbrodnię, gdzie, po co i na co chcieli spełnić dwaj nieznani panowie, mający akcent irlandzki.

Policja sprowadziła z całego kraju agentów, prowokatorów, szpiegów i zdrajców, aż wreszcie skonstatowała, że nieznajomi ci, to Kelly i Deasy, dwaj poszukiwani fenianie. Sędzia polecił odesłać zaaresztowanych do więzienia w Salford, pobliskiego miasta, połączonego z Manczestrem szosą podmiejską. Obu więźniów zakuto i wsadzono wraz z innymi więźniami do wozu więziennego, zwanego w Anglji przez lud „czarną Marją“. Jest to wóz wielkości omnibusu, okuty blachą. Z tyłu drzwi z okienkiem zakratowanem wiodą do wnętrza wozu, który ma po obu stronach szereg wąskich komórek, z których każda zaopatrzona jest w drzwi, wychodzące na rodzaj korytarzyka, idącego przez środek wozu. Dozorca więzienny zamyka kluczem drzwi zewnętrzne woza a sam usadawia się w przejściu, mając kontrolę nad wszystkiemi celkami. Woźnica — również uzbrojony policjant — oraz towarzysz zajmują miejsca na koźle zawsze gotowi z pomocą dla dozorcy, usadowionego w środku woza.

W obec wszakże faktu, że policji udało się schwycić dwóch fenianów, za kozłem usadowił się cały dziesiątek policjantów, by choć w ten sposób wyrazić radość z niespodziewanego połowu.

Publiczność manczesterska miała się dowiedzieć o tem „zwycięstwie porządku“ dopiero z gazet wieczornych. Byli wszakże ludzie w tem „mieście bawełnianem“ *), którzy wiedzieli naprzód o mającem nastąpić przewiezieniu Kelly'ego i Deasy'ego. W kolonji irlandzkiej wiedziano o przybyciu szpiegów i zdrajców. Fenianie w Manczestrze wiedzieli zatem z góry, jaki los spotka ich przewódców. Postanowiono zatem wyrwać ich z rąk siepaczy i przywrócić wolność dwóm odważnym Erinu synom, którzy byli niestrudzonymi pracownikami a nawet teraz głównemi sprężynami walki o swobody irlandzkie.

(C. d. n.)

*S. M.*

*) Manczester, jako wielkie ognisko tkackie, jest często zwane *Cottonpollis* t. j. miasto bawełny.

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

*Włodzimierz Perzyński — To co nie przemija. Warszawa 1906. Jan Fiszer.* Perzyński to przedewszystkiem trochę sceptyk, trochę indeferentysta, co nie znaczy jednak, żeby myślał trafnie i głęboko; ponadto ma upodobanie dla estetyczności i dowcipu, pewien dyskretny sentyment dla rzeczy rzewnie serdecznych i t. zw. inteligentną czułość na powiew „świętości“. Takie właściwości aparatu twórczego nadają się znakomicie do fotografji bez retuszu i... satyry. Nic w tem dziwnego: większość zdarzeń przeciętnego życia nawet „nieprzeciętnych“ ludzi jest tylko nienapisaną satyrą. A dalej również dzięki wspomnianym właściwościom P. daje satyrę dziennikarską, lekką, ogładzoną, grzeczną a dość bezpośrednioszczerą. W pierwszym tomiku wierszy zmieszanie tych elementów z „czystą poezją“, złożyło się na miły urok niesklamanych przeżyć traktowanych nieco sposobem heinowskim wszakże oryginalnie. Ten pierwszy tomik, choć nierównych pod względem wartości, wierszy tem bardziej ujmował, że był to czas Przybyszewszczyzny i nadętej mistyfikacji wszystkich i wszystkiego.

Zdawało się, że autor pójdzie dalej; pogłębi zdolność chwytania na gorącym uczynku i pokazywania nam banalności, trywialności i t. p. nieprzyjemnych stron różnych „smutnych“, „ciekawych“, „tragicznych“ przeżyć. Spotyka nas zawód. Ostatni zbiór nowel zatytułowanych od pierwszej „To co nie przemija“, — zawiera wprawdzie sporo momentów delikatnego skompromitowania banalności przeróżnych — jednakże takiego kompromitowania i takich banalności naczytaliśmy się już gdzieindziej i lepiej do znudzenia. Pozatem autor tak się zasłania, że nieraz tylko dobra wola czytelnika posądzić go każe o wspomniane intencje; dobra wola — bo, gdybyśmy rzeczy te wzięli serjo, słusznie należałoby zapytać, poco podobne „historje“ aż pisać?, co one nas obchodzą? (Z tego gatunku najlepsze „To co nie przemija“.) — Ale dalej znajdujemy rzeczy pozbawione nawet tego elementu; zatytułowaćby je trzeba „woda jakiej wiele“. Z tego też powodu nie podajemy treści.

Wogóle najlepsze ze zbiorku „Sen wielkanocny pana radcy“ i „Obywatelski czyn“ nadają się na przygodne fejletony.

Książeczka omawiana należy do lekkiej beletrystyki i będzie chętnie czytana przez szerokie koła publiczności. — Czy autorowi szło tylko o to?

*Ad. Z.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.